

Szczotką do zamiatania, opatuloną w kosmatobure szmaty, zmywała kurz ze schodów. Przystanęłam, żeby zobaczyć, jak prawo grawitacji wyklucza wszelkie miłosierdzie: najniższemu ze wszystkich stopni, i tak obtłuczonemu, dostawał się cały lepki brud stu sześćdziesięciu trzech pozostałych ustanowionych ponad nim, a nasza dozorczyńni, Jadwiga Amalfi, obraźliwymi słowami ofurkiwała tę kosmiczną niesprawiedliwość.

Spojrzałam z zazdrością: stróżka nazwana Amalfi nie przestanie śmierdzieć kapustą — to fakt, jednak... Dziwaczne słowo, ofiarowane jej przez męża lub ojca, niezamężną matkę czy, Bóg jeden wie, przez kogo, ten niewidzialny dźwięk, który długo rozbrzmiewał wędrując przez czas i przestrzeń, a teraz, przytroczony do naszej dozorczyńni jak pęk kluczy, pobrzękujący przy każdym poruszeniu jej ciała, to cudne, miękkie „aamalfiii” otaczało stróżkę wonią, od której zapierało mi dech w piersiach.

Bo ja nazywam się tak jak wszyscy.

Wykręciła szmatę i rozwiesiła dziury na kaloryferze. Ostatni stopień, brudniejszy niż kiedykolwiek, wyglądał jak ofiara zmowy wszystkich schodów ciągnących się od dziesiątego piętra.

— Nie ma przyjemniejszego uczucia niż to, że wszystko już się skończyło! — zagadałam. Ot tak, nasunęły mi się te słowa na myśl gładko i nieoczekiwanie.

— Jeżeli o mnie chodzi, to radzę pani uważać! — warknęła stróżka, zdjęłam więc buty, żeby nie nanieść, lecz wtedy ona zaszeptała ponuro:

— Radziłabym uważać, ponieważ dokładnie TEGO SAMEGO zdania użyła dusza rencisty spod dziewiątego, kiedy zeszłej soboty zmuszona była opuścić jego ciało.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Wóda! — dozorczynią szarpnął dreszcz obrzydzenia. — Opuściła go z powodu, że pił!

— Ale... — ciągle nie mogłam tego pojąć. — Dlaczego użyła... zdania?

Amalfi spojrzała na mnie z pogardą:

— Bo jak na początek Pan Bóg każdemu słowo dał, żeby ciało ożywić — bo bez słowa danego nikt by jednej chwili nie przeżył — to na koniec trzeba je chyba oddać, co nie? Na miejsce!

Dla przykładu: dusza świętej Teresy z Lisieux, tej, co ją nazywali Małą Tereską — Duża Teresa to pani wie, że Od Krzyża była — więc jak z Tereski dusza wychodziła, to zaraz wszystkim obiecała, że ich obsypie różami. „Obsypię was różami” — powiedziała, a potem raz-dwa się zawinęła i tyle ją widzieli.

A pani wie, co dusza na ostatek powiedziała naszemu wikaremu? „Bez obrazy, stary, ale dłużej żyć z tobą nie będę!”. A każdy wie, jak się wikary z nią pieścił przez całe życie! Jak się z nią cackał, jak do niej przemawiał, i to nie byle jak, ale po łacinie: „Duszyczko ulotna, miła, gościu mego ciała! Animula vagula blandula — dokąd się teraz

wybierasz, maleńka, na takie zimno?”. Ale co to dało? Poszła sobie i tyle. A znowuż Kartezjuszowa, co tylko przygodnie z nim była związana, puściła go kantem, jakoby dla Leibniza, bo ją zmęczyło wstawanie o piątej rano. Na koniec rzekła tylko: „No cóż, pora się chyba rozdzielić?” — i fiuuuuuuuu! Poleciała, latawica jedna! A Kartezjusz, zanim zdążył pomyśleć — już go nie było!

— Trudno się dziwić, że poleciała! — wtrąciłam. — Dusza jest substancją lotną.

— A pewnie, pewnie! — mruknęła Amalfi. — Dusza mojego wuja takiej nabrała lotności od Absolutu, z lodem, bo wiadomo, że Absolut, jaki by nie był, ciepły jest do niczego, no więc ledwie wuj zdążył krzyknąć „dOOOOOOskonały!”, a duszyczka, przez „O” niebo błękitne zobaczywszy, przeskoczyła przezeń jak przez obręcz w cyrku — i we świetle się rozplynęła!

Tak samo jak wiekuista część naszego organisty, Panie świeć nad nią, żeby nie zbłądziła! Ona, nie dość że wyszła na świat pijaniusienka, to na dodatek jeszcze: w ka-wał-kach! Bo organista, CZKAWKI na koniec dostawszy, po kawałku duszę uwalniał. Ona teraz, nieboga, po świetle się błaka i szuka — samej siebie — żeby w jakiej-takiej całości na Sądzie Ostatecznym się pojawić. A co uzbiera, zaraz gubi, po bramach się szlaja, pijaczkom w oczy zagląda, bo w każdym samą siebie widzi. Ale dobrze jej, bo choć swobody zażywa. Taka na przykład dusza Mordki Kowala, zlitujcie się nad nią anieli, przez trzy miesiące od śmierci Mordki ciągle do niego była przykuta! Mocno, że i siekierą by jej nie odrąbał. Kowal w lesie zasnął, na tęgim mrozie — tak tęgim, że oddech w szron zamieniał — więc kiedy z oddechem ostatnim dusza Mordki

wyszła na ten Boży świat, to zaraz solem Mordce do ramienia przymarzła i w lodzie uwieczona w żadną już stronę ruszyć się, biedna, nie mogła! Okoliczni mówili, że kwiliła, zziębnięta jak dziecko, spać nie dawała, a Kowal siedział tak z duszą na ramieniu aż do roztopów.

Jednak to, co wydarzyło się u naszej Aptekarzowej na ostatek, to już był prawdziwy skandal! Kiedy nadeszła pora Ostatecznego Rozwarstwienia Aptekarzowej, a mówią, że wszystko szło jak po maśle: Aptekarzowa rozdała błogosławieństwa i klucze do skrytek, kiedy nagle, ni z tego, ni z owego, zbłądła, jakby piorun w nią strzelił, oczy wybałuszyła i pyta się na głos: „A po jakiemu ja właściwie mówię?”. Wszyscy strupieli, ale grzecznie jej odpowiadają, że: „Po naszemu!”. I wtedy ona: „No, a teraz: MASTROVILIOPINTREMISMO?”. To były jej ostatnie słowa. I kto by się spodziewał? Taka z niej była czcigodna kobieta! Całe życie przy mężu, przy dzieciach, przy garach, przy zdrowych zmysłach — a tu, samym duszy koniuszkiem, tym kawałtkiem, co jej się został, zamiast powiedzieć to, na co wszyscy tak czekali...

— To znaczy, co? — zainteresowałam się.

— A chociażby, gdzie się podziała pelisa bobrowa Aptekarza!

— A, pelisa... — mruknęłam rozczerowana.

— No to już pani nie będę mówić, co spotkało na koniec poetę Vorgenasa... — Amalfi poczuła się dotknięta.

— Tego wieszca? — ożywiłam się. — Takiemu poecie to dusza chyba sonetem wyjść musiała?

— Oooo! Sonetem to co najmniej! — zapewniła Amalfi. — Lecz Vorgenas tak długo zwlekał, wersy skręcał, rymy ucierał, wciąż krzyczał: „Muszę się zastano-

wić!" i „Jeszcze chwileczkę!" — wiadomo, że byle czego na świat nie mógł wypuścić — że jego dusza, zmęczona tak długim czekaniem, umknęła... recta via! Mając w nosie zakłopotanie obecnych. A potem pośmiertnie wydane utwory Vorgenasa, co je sam Wieszcze ze starczą prostotą nazwał „Carmina", znaczy „Pieśni", złośliwi przechrzcili zaraz na „Carminativa" — „Wiatropędne".

Amalfi zachichotała, a ja pomyślałam zaraz, że dobrze byłoby mieć pod ręką jakąś elegancką frazę, ot tak, na wszelki wypadek, żeby nie było wstydu na koniec. Chciałam znaleźć coś ładnego, ale na myśl nasuwała mi się jedynie zużyta, w pijackich oparach wymamlana dusza renisty spod dziewiątego. Cuchnęło wodą, lumpeksem i postmodernizmem, więc chyba... może... raczej... nie winnam... Tfu!

— A, jassssne! — syknęła Amalfi. — Od razu „nie winnam". Jakby wszyscy tak myśleli, to nikt by żadnego słowa już w życiu nie powiedział! Bo dzisiaj wszystko musi być na jeden raz, zawsze świeże i nowe! A mój ojciec, żeby pani wiedziała, jednej prezerwatywy dziesięć lat używał — przynajmniej do czasu, aż ja się nie urodziłam. Tylko się nie trzeba brzydzić! Wiadomo, że się zawsze czyjaś duszyczkę w gębie obraca w czasie gadania — na to już nie ma rady! Ale skoro już istnieje jakieś zdanie, to po co wymyślać nowe?!

Amalfi zastanowiła się głęboko i dodała:

— A w dodatku: takie samo!

— Jest pani pewna? — zapytałam groźnie.

Stróżka spojrzała na mnie zawiedziona. Tak samo musiał patrzeć pan Amalfi na swoją gumową sakiewkę po dziesięciu beztróskich latach.

— Wolałaby poderżnąć sobie gardło, niż skłamać choćby na jotę! — zacharczała Amalfi uroczyście, a ja, głowę dając, słyszałam już gdzieś to zdanie\*.

— Cały Wszechświat wziął się z Boskiego gadulstwa — ciągnęła stróżka. — Co Najwyższy Gaduła powiedział, zaraz było! Tak się hałas Jego głosu słuchał! A zaczym się Stwórca do roboty wziął, to musiał sobie naprzód wszystko w myślach opowiedzieć, żeby wiedział, co po czym, dokładnie, po kolei. Świat robił i po cichu sobie mamrotał, żeby Mu się nie pomieszało: „Teraz niebo, a POTEM ziemia! I jasność od ciemności, a potem dopiero gwiazdy, morza i ryby". Bo co by to było, jakby On ryb ponastwarał, a o wodzie dla nich zapomniał?! Straszny smród, co nie? Więc jak i na ziemię, tak i na człowieka los gadaniem spływa z Boskich ust! Każdy z nas przepięknie został opowiedziany tam na wysokościach, jak w najlepszej glancowanej gazecie, a kiedy się rodzimy, to z takiej opowieści każdy dostaje jakiś kawałek, nieduży, na przykład: „Obsypię was różami", żeby dusza po takim zdaniu, jak pajak po nitce, do sieci słów Boskich z powrotem mogła się wspiąć.

— A więc... — olśniło mnie — dusza to cytat? Boska pożyczka? Fragment całości?

Amalfi wzniosła oczy do góry:

— Ciekawe, kto pani dał ten doktorat z filozofii, że najprostszych rzeczy pani nie rozumie?

— Ale w takim razie dlaczego wszyscy mamy w ustach pełno dusz?

---

\* W to zdanie wsunęła się pospiesznie (ponaglana przez syfilis) dusza Teofila Gautier, kiedy... itd.

— Bo czasem taka duszyczka na miejsce nie może utrafić. Co pani myśli — tyle tam słów na górze! — stróżka westchnęła. — No i wtedy... krąży, biedactwo, po świecie się błaka i tylko czyha, żeby na cudzą myśl się nasunąć, a potem, cudzym oddechem niesiona, ożyć choćby na chwilę!

— Pani to już chyba czwarta jest, co mi tu na klatce mówi: „Nie ma przyjemniejszego uczucia niż to, że wszystko już się skończyło!” — Amalfi głośno wciągnęła powietrze przez nos.

O Chryste! Więc to nie ja mówię, kiedy mówię?! Więc jestem tylko wehikułem niewidzialnego, oddechem ujeżdżanym przez słowa, ciałowstąpieniem dusz? Nie!!!

Chociaż... to przynajmniej tłumaczy wszystkie bzdury, jakie zdarzyło mi się w życiu wypowiedzieć.

Od tamtej pory słowa, które niespodziewanie nasuwają mi się na myśl, wypowiadam ostrożnie i z należytą powagą. Niektórym pozwalam bez końca ślizgać się po moim języku, na przykład: „Mastroviliopintremismo”. Nie krzyczę: „Doooooskonałe!”, kiedy piję, i, rzecz jasna, nie mówię na mrozie ani kiedy mam czkawkę.

Ale od jakiegoś czasu nawiedza mnie... milczenie.

Niezwykła cisza, inkrustowana pauzą i błyskotliwym zachłyśnięciem, oprawna w bezdech. Przychodzi do mnie duszyczka, która... NIC nie mówi.

Przypałam Amalfi w bramie:

— Jak to możliwe, żeby ona nic...?

— Bo możliwe, że... to mój kuzyn Teo! — przypomniła sobie stróżka. — Umarł, biedaczek, bez jednego słowa! Chorobę miał! Tylu wojen w życiu zaznał, ojczyzn, nazwisk i języków, że się nabawił od tego uporczywej ironii!

Do żadnej on mowy ludzkiej nie mógł już przylgnać z ufnością, bo go zaraz każda brzydziła. I żal do każdej miał, bo mu wpięraw naobiecowały, a to, że „język giętki”, a to, że „wszystko, co pomyśli głowa” — ale żadna słowa dotrzymać nie chciała! No to się potem za to mój kuzynek Teo na nich mścił. Ach, jak on się na nich mścił, żeby pani wiedziała! Jak sobie którą upatrzył, to choćby i najbrzydsza była czy nawet... ugrofińska, tak ją zagadywał, tak kusił, tak się w niej przeglądał, aż mu uległa! A wtedy, wstyd powiedzieć, brał ją — i tak, i wspak — zniewalał, sobą wypełniał, psuł, gwał, przekręcał, a kiedy już się nasycił swoją złością, to ją zdradzał: najprzód dla miętszej, miętszą dla piskliwej, piskliwą dla szemrzącej! Z każdą potworów naślodziwszy, po domu biegał golusieńki i na niby-tronach bękartów usadzał: „Ciebie, pokrako — ryczał — pasuję na księcia Wielkiego Słownika Oxfordzkiego, a ciebie baronem Laroussem robię, i basta!”. O Jezusie, co my z nim mieli! Nawet zycbady doktora Zamenhafa z Białegostoku nie pomagały. Byłby się kuzyn Teo na śmierć zagadał, gdyby nie taka jedna... Hansia Majer. Najładniejsza dziewczyna na naszej ulicy. Przyszła kiedyś do Teodora pod wieczór, jak nikogo w domu nie było, i pokazała mu... koniuszek swojej bielutkiej piersi. Żeby pani wiedziała, co się później działo! Kuzynowi na widok takiej piękności SIEDEM słów podziwu w SIEDMIU różnych językach NARAZ w gardle stanęło. Poczerwieniał, jakby go apopleksja miała trafić, zachrobotło w nim jak w zamku — i umilkł! Milczał tak całutki, od stóp do głów, jeszcze przez wiele lat. Gęstą ciszą się oprządl, że prawie go nie było widać.

— Więc jak on potem trafił... do Boskiej fabuły?

— Na koniec sznur się opuszczał przez dziurę w górze, a Głos z dziury powiedział: „Teodorze, słów żadnych w sobie nie szukaj, bo my już od tego ciągłego gadania wytrzymać nie możemy! Twojej ciszy nam trzeba, bo to rzadki i szlachetny materiał, którego bardzo nam tutaj brakuje!”. Teo do sznura nic swojej ciszy przywiązał i wzięli cichą duszyczkę Teodora, a potem zaraz z radością wstawili między wyrazy.

— A jak on miał na nazwisko?

— Tak samo jak ja — z dumą odpowiedziała stróżka.

Z początku przychodził tylko nocami. Potem odwiedzał mnie również w dzień. Bez uprzedzenia zjawiał się w pracy, kiedy prowadziłam wykłady: mijały godziny, a ja w kompletnej ciszy patrzyłam w oczy swoim studentom — niektórzy do tej pory twierdzą, że dowiedzieli się ode mnie więcej niż od innych wykładowców. Moja popularność rosła. Zwolniono mnie z pracy.

Siedzę teraz w domu. Teodor już mnie nie opuszcza, planujemy ślub. Stróżka weźmie mnie do pomocy. Będę Amalfi.

## Spis treści:

<i>Notatka służbowa</i>	
<i>w sprawie zajścia w Ermitażu (na brudno)</i>	/ 7
<i>Nondum</i>	/ 22
<i>Wodomówca</i>	/ 30
<i>Uriel</i>	/ 35
<i>Gumajka</i>	/ 41
<i>Longinus</i>	/ 47
<i>Gumajka i Uriel</i>	/ 52
<i>Viator in fabula</i>	/ 56
<i>Pan Dwadrzewko</i>	/ 66
<i>Mówienie jest nawykiem rąk</i>	/ 91
<i>Psychopomp</i>	/ 96
<i>Siostry</i>	/ 106
<i>Życiorys (Rozpostarta dusza Salomona Finka)</i>	/ 110
<i>Bibliotekarz</i>	/ 123
<i>Odspodek</i>	/ 128
<i>Z życia dusz</i>	/ 136